

KATE GOLDEN

# RZĄDY KWIARCU

ŚWIĘTE KAMIEŃ, KSIĘGA 3





KATE GOLDEN

# RZĄDY KWARCU

ŚWIĘTE KAMIENIE, KSIĘGA 3

TŁUMACZENIE  
ALEKSANDRA GÓRCZYŃSKA

Tytuł oryginału: *A Reign of Rose*

Copyright © Kate Golden 2024

Copyright © for Polish edition by Wydawnictwo Nowe Strony, Oświęcim 2025

All rights reserved · Wszystkie prawa zastrzeżone

Redaktorka prowadząca: Sandra Pętecka

Redakcja: Alicja Chybińska

Korekta: Karina Przybylik, Natalia Szoppa, Kamila Grotowska

Skład i łamanie: Paulina Romanek

Oprawa graficzna książki: Paulina Klimek

Cover design: Katie Anderson

Druk i oprawa: Abedik S.A.

ISBN 978-83-8418-013-6 · Wydawnictwo Nowe Strony · Oświęcim 2025

Grupa Wydawnicza Dariusz Marszałek



🌐 [www.wydawnictwoniezwykle.pl](http://www.wydawnictwoniezwykle.pl)  
@ [niezwykle@wydawnictwoniezwykle.pl](mailto:niezwykle@wydawnictwoniezwykle.pl)  
f Wydawnictwo Nowe Strony  
📷 [wydawnictwonowestrony](https://www.wydawnictwonowestrony.pl)  
🎵 [nowe\\_strony](https://www.wydawnictwonowestrony.pl)

*Dla Taylor, Sama i Kristine,  
mojej Florze, Faunie i Promieniowi Słońca  
Dziękuję za urzeczywistnienie wszystkich moich marzeń*

Świat światła błogostawiony przez Kamienie,  
Król upadnie z ręki swego drugiego syna potajemnie.  
Miasto w popiół i kości obrócone,  
Gdy upadnie gwiazda, wojny znów zostaną ogłoszone.

Narodzi się ostatnia Fae pełnej krwi,  
W jej sercu Ostrze Stońca się tli.  
Ojciec z dzieckiem na wojnie rozpoczętej przed półwieczem się spotkają,  
Feniks nadejdzie, gdy ostateczną bitwę rozpoczną i podpalą.

Król zginie tylko z jej ręki,  
Dziewczyna wie, co wybierze, bez udręki.  
Ofiara złożona, by ziemię uspokoić,  
Bez tego całe królestwo może się wykończyć.

Tragedia dla obu Fae, gdy upadną wśród wrzawy,  
To cena, którą trzeba zapłacić dla ocalenia sprawy.

– *Ligeia, Protok Lumera, 113 lat temu*

# PROLOG

ARWEN

TRZYNAŚCIE LAT TEMU

– Nie wejdę tam.

Zmusiłam się do wypowiedzenia tych trzech kotłujących się w mojej głowie słów, wbijając pięty w poznaczoną suchymi placami trawę.

W szopie Powella działały się złe rzeczy. Rzeczy, od których moje plecy paliły żywym ogniem, a z oczu płynęły łzy.

– Dobra. – Mój brat odpuścił, po czym uwolnił z palców moją dłoń i skrzyżował ręce na piersi. – Jak sobie chcesz.

Nie wiedziałam, co miało oznaczać to: „Jak sobie chcesz”, ale z pewnością nie brzmiało to zbyt optymistycznie.

Ryder, nie czekając na moją odpowiedź, popędził prosto w rześką noc za Haldenem. Chłopcy z łatwością uporali się z zardzewiałym zamkiem prowadzącym do pokrytego strzechą, zaimprowizowanego warsztatu mojego ojczyma, a następnie wślizgnęli się do środka i zniknęli mi z oczu.

Przez cały ten czas stałam w miejscu, trzęsąc się z zimna. Lodowate powietrze kąsało mnie po twarzy i łydkach. Miałam na sobie ulubioną koszulę nocną, zbyt wystrzępioną i dziurawą, żeby skutecznie ochronić mnie przed nocnym chłodem. Przydałby mi się płaszcz. Mogłam też po prostu wrócić do domu, ale wiedziałam, że wtedy Halden i Ryder pomyśleliby, że się boję.

Co oczywiście pozostawiało prawdą, ale...

Oni wcale nie musieli o tym wiedzieć. Mój brat i jego najlepszy przyjaciel wydawali się nieustraszeni. Nigdy nie widziałam, żeby się czegokolwiek bali. Niestraszne im spóźnienia na lekcje, nie podskakiwali na dźwięk piorunów uderzających o ziemię, przypominających uderzenia skórzanym pasem. Nie bali się też wykraść w zimną noc, taką jak ta.

Odważni, silni i tacy pewni siebie, tak zawsze mówiła o nich matka. Była nimi zachwycona.

A ja... Zawsze za nimi goniłam. Niczym piąte koło u wozu. Najślabsze ogniwo.

Dlaczego nie mogli po prostu zaproponować, żebym do nich dołączyła? Kiedy usłyszałam ich przytłumiony śmiech, wyszłam na palcach z sypialni i zapytałam, co się stało. Gdyby mnie wtedy zaprosili, poprosili, żebym do nich dołączyła, mogłabym wykształcić uprzejme: „Och, nie, dziękuję” i wrócić do sypialni z pocieszającą świadomością, że nie zostałam wykluczona.

Gdzieś daleko w lesie wilk zawył do wiszącego na niebie ogromnego, śnieżnobiałego księżyca. Zacisnęłam zęby, walcząc z narastającym niepokojem. Bardzo chciałam wrócić do łóżka. Najprawdopodobniej nadal okazałoby się przyjemnie ciepłe.

Mogłabym tam zostać, schowana pod kołdrą, dopóki ciemność nie ustąpiłaby porankowi i mama nie przyszlaby mnie obudzić.

Liście chrupnęły pod moimi stopami, kiedy odwróciłam się na pięcie, zamierzając wrócić do swojego pokoju. Jutro do woli mogą się ze mnie nabijać, nazywać tchórzem, a ja bym im na to pozwoliła. Kto wie, może ta przerażająca szopa połknie ich w całości i w ogóle nie wrócą do domu.

Udało mi się zrobić zaledwie krok, kiedy nocną ciszę przeszył głośny łoskot, a po nim nastąpił okrzyk bólu.

Sowy pohukiwały złowrogo. Liście szeleściły. Poczułam, jak krew zastęga mi w żyłach.

Do moich uszu dobiegł kolejny bolesny jęk...

Bez zastanowienia rzuciłam się do biegu.

Lecz nie w kierunku bezpiecznego łóżka, tylko w stronę maczającej w oddali szopy, przypominającej domek goblinów. Surowy na tle bezgwiezdnej nocy, położony z dala od innych budynków.

– Co się stało? – wyszeptałam, wpadając do środka. – Wilki?

Mój nos wypełnił zapach lakieru i unoszących się w powietrzu trocin. Plecy zapiekły mnie od wspomnienia niedawnych cięć, wymierzanych przez Powella.

– Chodzi o Haldena... – dobiegł mnie rozedrgany głos Rydera. – Bawiliśmy się w żołnierzy. Halden złapał za piłę... Jego ręka...

Wyteżając wzrok w ciemności, zmrużyłam oczy i niemal natychmiast natrafiłam na błyszczącą kałużę krwi, przywodzącą na myśl oleisty smar.

Uniosłam wzrok na stojącego nad nią Haldena – chłopca, z którego twarzy praktycznie nie zniknął uśmiech – zalanego łzami.

Jeszcze nigdy nie widziałam, żeby ktoś tak płakał.

– Wszystko w porządku – wyszeptałam, nie bardzo wiedząc, dlaczego to powiedziałam. Z jego ręką nie było dobrze. Ani trochę. – Sprowadzę mamę.

– Zgłupiałaś? – warknął na mnie brat i złapał za rękaw mojej koszuli, szarpnięciem przytrzymując w miejscu. – Obudzi ojca i wszystkim nam się dostanie. Stój w miejscu, dopóki nie wymyślę jakiegoś planu.

Przesunął lśniące w świetle księżyca oczy w bok, na Haldena. W tym momencie gniew, wyraźnie malujący się na jego twarzy, sprawił, że mój brat bardzo przypominał swojego ojca.

Na ten widok poczułam, jak żołądek zaciska mi się w ciasny supeł.

Przyjaciół przyciskał do piersi zranioną rękę, jego twarz pokrywała wilgoć, a z nosa mu kapło.

– To twoja wina – zwrócił się do Rydera, zawodząc żałością. – Mówiłem ci, że nie powinniśmy tutaj przychodzić.

I miał rację. Szopa była okropna. Rozklekotana i klaustrofobiczna. Zawsze zamknięta na klucz. Powell przyprowadzał mnie tu tylko wtedy, kiedy zamierzał wymierzyć karę. Serce tłukło mi się w piersi, odnosiłam wrażenie, że otaczające ściany zaczynają na mnie napierać. Oddychałam z coraz większym trudem, ściśnięte ze strachu płuca odmawiały posłuszeństwa.

Wdech i wydech. Wdech i wydech.

Całe moje ciało rwało się do ucieczki. Potrzebowałam znaleźć się jak najdalej stąd, tak daleko, na ile pozwoliłyby mi moje ubłocone kapcie.

Mimo to się nie poruszyłam. Przecież mój brat zawsze wychodził cało z każdej sytuacji. Zawsze wiedział, co robić.

Halden nie przestawał kwilić jak zarzynany prosiak, a ja nagle poczułam ból promieniujący z palców.

Nie, poprawiłam się w myślach, skupiając się na tym dziwnym uczuciu. To nie ból, nie całkiem. Bardziej *mrowienie*. Jakbym spędziła całe popołudnie, trzymając rękę w niewygodnej pozycji, i uświadomiła to sobie dopiero teraz, czując na skórze igielki.

– Mogę zobaczyć? – zapytałam brata, wskazując na rękę jego przyjaciela.

Ryder nie odezwał się od razu, zastanawiając się nad odpowiedzią. Halden płakał, starając się nie wydawać żadnych dźwięków. Po minucie, zdającej się trwać w nieskończoność, w końcu skinął głową.

– Podejdź tutaj – zwróciłam się do Haldena.

Posłuchał mnie bez słowa protestu. W mlecznobiałym świetle księżycy przyjrzałam się rozcięciu biegnącemu po wewnętrznej stronie jego ręki. Skóra była poszarpana, krawędzie rany nierówne. Mrowienie w palcach przybrało na sile. Puls mi przyspieszył, jak gdyby zamiast serca w mojej piersi znajdował się uwięziony koliber i za wszelką cenę chciał wydostać się na zewnątrz.

– Chyba coś słyszałem – odezwał się Ryder. – Pójdę sprawdzić, a wy zostańcie tutaj... – kontynuował i pośpiesznie obszedł znajdujący się w środku stół roboczy, zrzucając na podłogę skrupulatnie ułożone śrubki i śruby.

Strach jeszcze mocniej zacisnął się na mojej piersi. Powellowi by się to nie spodobało. Wszystkie jego narzędzia musiały leżeć poukładane według rozmiaru, w jednej równej linii.

– No i? – zapytał Halden, pociągając nosem. – Jak to wygląda?

– Wiesz, pomagam czasem mamie – powiedziałam, nie odpowiadając na jego pytanie. Ciągnąc go za sobą, podeszłam do chwiejącego się regału i stanęłam na palcach, próbując dosięgnąć jednej z wyższych półek. Wiedziałam, że tam znajdują się ściereki. – Jej nogi nie funkcjonują zbyt dobrze. Ma mnóstwo zadrapań i skaleczeń.

Kiedy natrafiłam ręką na szmatkę, szybko przyłożyłam materiał do jego dłoni i docisnęłam do rany.

Szloch Haldena ustąpiły cichemu pochlipywaniu. Z zewnątrz dobiegało wycie wilka.

– Wiesz, on wcale po nas nie wróci – odezwał się do mnie cicho.

*Ryder? Oczywiście, że wróci.* Już otwierałam usta, żeby mu to powiedzieć, ale osobliwe mrowienie palców stało się tak intensywne, że ledwo mogłam myśleć. Opuszki piekły i swędziały.

I chociaż wcale nie miałam ochoty ponownie przyglądać się tej ranie, zmusiłam się do zapytania:

– Czy mogę zerknąć na to raz jeszcze?

Halden przytaknął, po czym odwrócił głowę w stronę pokrytego brudem okna, przez które ledwo przesączało się do środka światło księżyca. Następnie, jak gdyby chciał się upewnić, że nic nie zobaczy, zamknął oczy.

Szmatka nieco spowolniła krwawienie... lecz to powróciło z pełną mocą, gdy przestałam uciskać ranę – krew zaczęła skapywać na podłogę wąskimi strumyczkami. Rana była głęboka. Mogłam zobaczyć upiorną biel kości i poszarpane mięśnie. Ostrożnie dotknęłam postrzępionych krawędzi skóry, a z moich palców wydobyło się blade światło i spłynęło na rękę Haldena.

Serce podeszło mi do gardła i czym prędzej puściłam jego dłoń.

Skóra chłopaka zaczęła się zasklepiać na moich oczach.

Zamrugałam ze zdumienia. Zamknęłam i otworzyłam oczy. A potem jeszcze raz, nie wierząc w to, co się działo.

Wzrok jednak nie płatał mi figli, rana zrastała się sama z siebie. Dopiero teraz uświadomiłam sobie, że paniczny ucisk w piersi, towarzyszący mi nieustannie w szopie, zniknął razem z nieprzyjemnymi igiełkami kłuszącymi skórę. Zaciśnęłam dłoń i rozluźniłam palce, próbując odszukać w sobie to osobliwe mrowienie, ale niczego nie poczułam.

– Skończyłaś? – zapytał, nadal nie otwierając oczu.

– Prawie. – Ponownie dotknęłam rany, lecz tym razem światło bijące z palców okazało się słabsze. Minutę później jedynym śladem po wcześniejszym urazie pozostawała lekko zaróżowiona skóra.

Czyżbym była czarownicą? Co pomyśli o mnie Halden? Czy powie o wszystkim mamie i Powellowi?

*Na Kamienie.*

Skrzywiłam się. Nie powinno się przeklinać ani wzywać Świętych Kamieni nadaremno.

Dzisiejszego wieczoru podejmowałam same fatalne decyzje.

– Jeszcze nie patrz – poinstruowałam, nagle czując ogromne zmęczenie. Na powrót owinęłam jego rękę szmatką, po czym związałam ją na niewielki supeł, próbując zatuszować swoje dzieło. – Do rana powinno się zagoić.

– Dziękuję, Arwen – szepnął, ocierając mokre policzki wierzchem zdrowej ręki. – Nie musiałś tego robić.

– Co takiego? – Czy wiedział, co przed chwilą zrobiłam? Czy zdawał sobie sprawę, że cokolwiek to było, jednocześnie rozpałało i koiło moje ciało? Przełknęłam ślinę.

– Zostawać. Pomagać mi. Mogłaś zostawić mnie i uciec tak jak Ryder.

Sięgnęłam po zakrwawioną piłę, którą bawili się chłopcy, i wytarłam ją rąbkiem koszuli, a następnie umieściłam ją z powrotem na żelaznym haku. Uklęknęłam i zaczęłam zbierać z podłogi wszystkie śruby strącone przez Rydera ze stołu. Ułożenie ich we właściwym porządku zajęłoby mi co najmniej godzinę.

– Byłeś ranny – na wpół powiedziałam, na wpół ziewnęłam. – Nie mogłam cię zostawić.

– Mogłaś – odezwał się. Minał mnie i ruszył w kierunku drzwi. – Właśnie, że mogłaś.